TYGODNIK KATOLICKI.

1867. Grodzisk, 19 lipca. № 29.

Tygodnik katolicki wychodzi co tydzień w Piątek. Cena prenumeraty 1 Tal. ćwierćrocznie. Listy z zagranicy adresować należy do Poznania (Posen, Grand Duché de Posen.) Redakcyja odbiera tylko frankowane korespondencyje. Rękopisy zwracają się tylko na wyraźne poprzednie żądania. Po użyciu ulegają niezwłocznie zniszczeniu.

Przymówienie się

księdza Hieronima Kajsiewicza

Przełożonego Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego,

podczas nabożeństwa dziękczynnego, odbytego w kościele św. Klaudyjusza w Rzymie, przez polskich kapłanów pielgrzymów, przybyłych na ośmnastowiekowa rocznice męczeństwa śś. apostołów Piotra i Pawła, i na obchód kanonizacyjny św. Józafata, arcybiskupa połockiego, i innych Świętych.

„Haec est autem victoria mundi, fides vestra.“
„A zwycięztwem waszym nad światem, jest wiara wasza.“

Wielebni Bracia Kapłani!
Pobożni Słuchacze!

Bóg nasz, dawca wszelkiego dobra i pociechy, tak nam tę ziemską pielgrzymkę urządził, iż nikomu nie schodzi całkiem na zbawiennym brzemieniu krzyża, i znowu bacząc na wielką słabość naszę, daje nam od czasu do czasu chwile wytchnienia i pociechy. A tak, ani gnuśniejemy w ciągłych wczasach, których i lepsi długo bezkarnie nie zażywają, ani upadamy pod ciężarem trudów i smutku, wyczerpnięci i pobici na duchu. Błogosławiony Bóg nasz, dawca wszelkiego dobra i pociechy!

Dobrze zażyłym z krzyżem, a nieobcym karze i boleści, sprawił Pan w tych dniach wielkie gody duchowe; namazał serca nasze wielką i czystą pociechą, przypominając nam tryjumfy wiary. *A zwycięztwem waszym nad światem, jest wiara wasza.*

Wieleby, wiele było do powiedzenia o tych uroczystościach, o téj *wystawie wiary waszéj*, na którąście w duchu wiary pątnikami bożemi przybyli, i w duchu wiary chcecie zakończyć nabożeństwem dziękczynnym, przed podjęciem zwrotnéj podróży do rodzinnéj strony. Wiele, powtarzam, wieleby o tym było do powiedzenia, a tu wśród pobożnie gwarnego i gorączkowego jeszcze życia, trudno rozpierzchłą i strudzoną myśl pochwycić i skupić, i tak jeszcze jedne zajęcie nadeptuje drugie, że widzę, iż i na tych kilka uwag, które w prostocie pragnę z serca przelać do serc waszych, czasu i pogody nie stać! Nie wypowiem ich zatym, ale raczéj natrącę wam, mistrzom w Izraelu, i bywalcom w domu bożym, abyście je w rozmyślaniu rozwinęli, dopełnili ich, i co ułomnego znajdziecie naprawili.

* * *

A zwycięztwem waszym nad światem, jest wiara wasza. Pierwszym zwycięztwym, jest wiara świętych Apostołów. Kiedy do Rzymu, stolicy świata, stolicy siły i bogactwa, stolicy pychy i fałszywéj oświaty, stolicy zepsucia i bałwochwalstwa — do Rzymu, któremu się zdało, jak mówi św. Leon papież, że na wielkie zdobył się nabożeństwo, kiedy wszystkie błędy w łonie swojim zgromadził, i na kapitolu urządził wystawę powszechną wszystkich fałszywych bożyszcz; kiedy, mówię, do tego i takiego Rzymu wchodził przed ośmnastu wiekami biédny rybak galilejski, z posłannictwem i postanowieniem obalenia pogaństwa, i założenia na gruzach jego skały, wiary swojéj, stolicy chrześcijaństwa, czyż po ludzku zamysł taki nie wyglądał na szaleństwo? A przecież, ponieważ miał to gorczyczne ziarno wiary, która góry przenosi, ponieważ miał posłannictwo od Boga, i był mu wiernym, bezsilni, niebroniący się, umierający wystąpili stopniowo z katakumb, i pogaństwo samym ciężarem prawdy zgnietli, wszelką nieczystość krwią męczeńską zmyli, a na ziemi odnowionéj, rozrosło się nowe — czyste pokolenie. A wszystko to się stało dzięki wierze Piotrowéj, bo: *zwycięztwem waszym nad światem, jest wiara wasza.* —

A patrzcie, Bracia, że po ośmnastu wiekach, jak nie zużyło się przystole Piotrowe, któreśmy czcili i oglądali, tak nieosłabła wiara w Następcy Piotrowym, w miłościwym naszym Ojcu, w IXtym Piusie papieżu. Oto znaczna część samychże katolików sprzykrzyła sobie światło wiary Chrystusowéj nie surowy już ani czysty obyczaj, nie znosi wędzidła zbawiennego zakonu, i w zmowie tajnéj z różnowierstwem i niewiarą wszelką, szturmuje zajadle na Stolicę Piotrową. Upojeni pychą babelską, święcą gody baltazarowe. Najniewdzięczniejsza, najwścieklejsza, jak zwykle zaprzańców, Palestyna nowożytna — Włochy, wybrane na siedzibę, opole, i straż ogniska prawdy, i dobra, i piękna dla świata całego — Włochy przemyślają: jak mieć Ojca więźniem lub tułaczem, jak przywrócić cezarysm pogański, i tylko co święcili pięciowiekową rocznicę gienijalnego Ghibellina. Ale śród ciemności zalegającéj dokoła, świat cały, Rzym, jak ongi ziemia Gossen śród ciemności egipskich, jasny i spokojny. I powstaje starzec pogodny na Syjonie i woła: a my chcemy święcić ośmnastowiekową rocznicę męczeństwa świętych apostołów Piotra i Pawła, i dać światu wzory z naszych męczenników i wyznawców, i prosimy Braci naszych biskupów, synów naszych kapłanów i wiernych, aby komu czas i siły i ochota, chcieli przybyć z nami obchodzić tę wielką ucztę duchową wiary i miłości. I o dziwo! przez śniegi północy, przez piekące piaski południa, biegną słudzy Pańscy do rzeki jakiéj spławnéj, do morskiéj przystani z busolą w ręku, wołając: „Ojciec nasz smutny, Ojciec nasz w niebezpieczeństwie, pójdźmy go pocieszyć, albo z nim umrzeć, boć my ucznie nielepsi od mistrza naszego. Nie każeć on, tylko prosi, ale jęk ojcowski głośniéj mówi od naka-

zania.“ I oto grzęzną głęboko w wałach morskich okręta od liczby pielgrzymów, gną się szyny po drogach pod ciężarem wozów, a lud liczny jak piasek morski, zbiega się do miasta świętego. I wiedzieliście Bracia, podczas gdy w sąsiednim Neapolu sobór zwolenników *Bestyji,* na której czole napisano: *Tajemnica,* podczas gdy sobór bezbożników ostrzył noże i zgrzytał zębami, 500 biskupów wszelkich obrzędów, 20,000 kapłanów i krocie ludu, tuliło się miłośnie do łona kochającego Ojca, i śpiewało hymny dziękczynne śród morza światła, śród woni kwiatów i kadzidła. I powiadają kłamce niemądre, że wiary na świecie już nie ma! A któż to cudo sprawił, jeżeli nie wiara? *bo zwycięztwem naszym nad światem, jest wiara nasza.* —

Po tryjumfie wiary Piotrowéj, wypada nam z koleji podziwiać wiarę św. Józafata, arcybiskupa połockiego, męczennika i opiekuna naszego.

Wszedł on do zakonu św. Bazylego rychło po zawartéj uniji brzeskiéj, kiedy jeszcze, jak zwykle się dzieje przy takich tłumnych nawróceniach, mało było prawdziwych Unitów, i innych pociągnął to interes, to obawa ździerstw patryjarchów carogrodzkich, to obawa pochłaniającego wpływu nowego pseudo-patryjarchatu moskiewskiego. Masa duchowieństwa pogrążona była w grubéj niewiadomości, w bezduszności, w świętokupstwie, zwykłych potomkach i werbownikach do schizmy. Takimi byli mnisi klasztoru św. Trójcy w Wilnie, takim sam opat Sieńczyłło. Sam jeden przeto Józafat nasz, znalazł się bez innego mistrza, okrom Ducha św., bez innego zasobu okrom dobréj woli, bez innéj podpory okrom wiary i nadzieji swojéj. A przecież się utrzymał i zaczął przyciągać i kształcić w zakonie młodzież ze świata. Któż po ludzku roztropny nie uśmiechał się i nie chwiał ramionami, patrząc na tego *kupczyka* nieuka, który się kasał na reformatora? A przecież z tego małego zawiązku wyszło odnowienie zakonu św. Bazylego, następnie episkopatu, a za wspólnym ich działaniem, odnowienie duchowieństwa świeckiego i wiernego ludu tak, że rychło powstał silny, światły, gorliwy Kościół rusko-katolicki. A wszystko to owocem wiary, pracy św. Józafata i wołania jego z głębi serca: „Panie znieś odszczepieństwo! daj uniję Panie!“ *Bo zwycięztwem naszym nad światem, jest wiara nasza.* —

A jak tu znowu nie podziwiać tajnych i miłosiernych dróg Pańskich! Święty nasz przypieczętowawszy męczeństwem świecie płodny swój żywot, z wysokości nieba, opiekuje się wciąż uniją. *Koście jego prorokują i grób jego,* także *chwalebnym się staje.* Pełno cudów wierni obu obrządków otrzymują za jego przyczyną, mianowicie za strasznych wojen kozackich, jak i ów, któryśmy u św. Piora na obrazie oglądali [1]). Duchowieństwo obu obrządków, naród cały błaga o kanonizacyję apostoła, męczennika i opiekuna swego; proces tak staje, iżby mógł Ojciec św. od razu go kanonizować, tymczasem poprzestaje na czci ograniczonéj do kraju rodzinnego i Zakonu św. na beatyfikacyji. I potym głuche milczenie przez dwa wieki całe, i wszelki zachód zrazu podjęty, skutku żadnego nie przynosi. Pierwszego roku panowania teraźniejszego Ojca św., poważyliśmy się go o podniesienie na ołtarze błogosławionego Andrzeja Boboli, o rozszerzenie czci błogosławionego Józefata. Pierwsza prośba miała skutek, druga jakoby niewczesna upadła. Lat temu kilka, Ojciec św. kanonizuje męczenników japońskich, o błogosławionym Józafacie nikt nie pomyślił. Dopiero po odbytym obrzędzie OO. Bazylijanie postrzegają się: że dekret Kongregacyji Obrzędów w sprawie błogosławionego Józafata i spółczesny i zupełnie téjże saméj treści co i męczenników japońskich. Wtenczas dopiero sprawa jego staje na świeczniku, i pomimo nieszczęsnych wypadków i zupełnego zubożenia kraju, obudza się hojność w rodakach, i oto nareszcie cześć naszego Patrona, do całego rozszerzona świata. Dla czego? Bracia mili! Człowiek bez osobnego objawienia, napewno myśli bożéj tłomaczyć niezdolen, może jedno pokornie śledzić i odgadywać. Ufamy jednak, iż nie pomylimy się, twierdząc, iż wszystko się tak stało, bo Bóg zachować chciał ostateczne uwielbienie sługi swego, a przyczyńcę i rzecznika naszego do téj chwili właśnie, kiedy unija w Rosyji po wiekowym rozboju, już prawie upadła, i sam grób świętego męczennika zagrożony; kiedy schizma jałowa w sobie i rozpadająca się przez różnowierstwo i niedowiarstwo, jak fałszywa i niepłodna matka przed sądem salomonowym, nie chce, by dziecko prawdziwéj żyło, kiedy sięga po zdrowie ostatnich Unitów, zachowanych jakoby na nasienie pod opieką rządu katolickiego. Ufajmy Bracia i módlmy się, aby się powtórzyło i na szersze rozmiary, cośmy już razy kilka w dziejach widzieli, aby, mówię, Unija zakwitła znagła, gdy zdawała się już usychać; ożyła, gdy zdawała się już u bram śmierci. Módlmy się, Bracia, i spodziewajmy, że jak Święty potężniejszym się stał po męczeńskim skonie, i nowy Stefan modlitwą swoją i ofiarą otrzymał nawrócenie ruskiego Szawła Smotryckiego, prześladowcy i mordercy swego, tak teraz otrzyma u Boga nie tylko zachowanie i utwierdzenie ostatków Uniji, ale jeszcze nawrócenie synów i wnuków pomordowanych *filiorum interemptorum,* i wyprosi w końcu upamiętanie ślepéj z urodzenia w schizmie Moskwy, i tchnącéj Kajnową wściekłością, serce ludzko-chrześcijańskie wybłaga. O! cieszmy się, cieszmy nadzieją takiéj zemsty. Módlmy się i ufajmy, boć *wierzącemu wszystko podobne,* a *zwycięztwem naszym nad światem, jest wiara nasza.* —

* * *

Pozwólcie, Wielebni Bracia, że na zakończenie, przechodząc od rzeczy większych do mniejszych, i do bliżéj nas obchodzącéj i jakoby rodzinnéj, przytoczę jeszcze jeden tryjumfik wiary, na dowód: że Bóg, który woła: to co jest jakoby nie było, i nie chce by jakiekolwiek ciało chełpiło się w obec Niego, że znów nie gardzi, i owszem błogosławi wszelkiéj chęci dobréj, wszelkiéj robótce dla chwały Jego podjętéj. Już dobrze przed upadkiem dawnego państwa polskiego, w miarę jak życie i ciepło ducha wewnątrz jego stygło, a naród nasz tracił coraz bardziéj nie tylko poczucie ale i pojęcie posłannictwa swego w Kościele bożym, stosunki nasze z Rzymem, źródłem i ogniskiem życia narodów katolickich, stygnąć i rwać się poczęły. Gorzéj się jeszcze stało po podziale Rzeczypospolitéj, kiedy schizma utwierdziła stosunki z Rzymem, a józefinizm jakąś otrętwiałość i senność do dusz samego duchowieństwa wprowadzić potrafił. Bulle prekonizowanych biskupów, i żądane a otrzymywane dyspense, przypominały jedynie, że i my jeszcze katolikami. Zarosły były ścieżki prowadzące do Syjonu — do Domu

[1]) Św. Józafat wzywany przez szlachcica polskiego — jeńca wojennego, ukazuje mu się w widzeniu, w biskupim stroju, a dotykając się pęt jego pastorałem, kruszy je, i na wolność wypuszcza.

Jakóbowego. Jeżeli jaki podróżnik, ciekawy starożytnych zwalisk i arcydzieł sztuki zabłąkał się i do Rzymu, nieraz nie tylko nie pomyślał o ucałowaniu stóp Ojca swego Namiestnika Chrystusowego, ale nawet nie wiedział, i nie był ciekawy do wiedzenia, jakie imię obrany papież nosi [2]). W takim stanie zastał rzeczy pątnik jeden wygnaniec [3]) lat temu trzydzieści, i za powrotem, zaczął rozpowiadać: jak wielkie złe dla Kościoła naszego, z takiego stanu rzeczy. Słuchało go dwóch biednych kleryków i powiedziało do siebie: „Istotnie tak być nie powinno. Idźmy, uczcijmy, ukochajmy Ojca naszego, módlmy się i nawołujmy innych, aby się serce synów wróciło do Ojca, a serce Ojca rozszerzyło ku synom.“ I ruszyli z koszturem pielgrzymskim w ręku, weszli do Rzymu, a wstępując do pierwszego kościoła i podnosząc źrenice wyczytali na obrazie te słowa z ust Zbawiciela wychodzące: *Ego vobis Romae propitius ero. — Ja wam w Rzymie miłościwym będę.* I o dziwo! w pierwszych latach przybywa kilku pobożnych podróżników, potym kilkunastu, potym kilkudziesięciu, nareszcie po kilkaset. Przed ostatniemi wypadkami widywaliśmy ten kościołek nabity samemi tylko rodakami; ale to byli wierni świeccy. Kapłan rzadko się zabłąkał, z pod rządu rosyjskiego, bo nie było wolno, z pod innych, bo jakoś nie było pilno. Tą razą, snadź połączone głosy świętych Apostołów, św. Józafata i Ojca św. żywiéj przemówiły do serc kapłańskich, bo oto z kilku tylko dyjecezyji z pod niemieckich rządów, widzimy po raz pierwszy razem sześciu biskupów [4]) i do stu kapłanów obu obrzędów w świętym mieście. Mało to zapewne w porównaniu do liczby duchownych z innych krajów, ale jakiż nagły krok naprzód, ile nadziei dający na przyszłość, kiedy widzę was zgromadzonych w większéj liczbie w tym kościołku, niż zwykle widzę przed sobą pobożnych wiernych. Przeto cieszymy się z całego serca i pokornie dziękujemy Panu.

Bóg wam zapłać, Bracia mili, za ten dobry przykład, jakiście dali. Bóg wam zapłać za zbudowanie, za miłość, za wielką dobrą wolą, z jaką przyjmujecie drobne nasze braterskie usługi. O! co za szczęście mieć jednego Ojca w niebie, i jedną Matkę — Kościół na ziemi! W rozmajitych miejscach i warunkach wychowani, a takeśmy jedno, jak gdybyśmy na jednych ławach szkólnych zasiadali byli, bo za wspólną wiarą i nadzieją, spólna podąża miłość.

Spieszcież do waszych owieczek tęskniących za wami! Nieście im błogosławieństwo od wspólnego Ojca. Mogliście doświadczyć tutaj i utrudzenia i niedogodności, jakie wielka ciżba za sobą pociąga; mogliście ucierpieć od chciwości ludzkiéj, ale te wszystkie chwilowe wrażenia spadną razem z kurzem ulic rzymskich. Nieraz gdy uklękniecie w cichych waszych kościołach wiejskich, śród świegotania ptasząt i cichego paciorka wieśniaczego, stanie wam przed oczyma pochód pięciuset biskupów z całego świata, i anielska postać Piusa IX. i bazyliki rzymskie płonące światłem; zadzwonią w uchu śpiewy jakoby anielskie, i zapłaczecie słodko, że wam dano było to wszystkp widzieć, i słyszeć zapowiedź przyszłego Soboru Powszechnego, i szczęśliwsi będziecie niż obecnie, bo człowiek więcéj żyje nadzieją i wspomnieniem niż rzeczywistością.

Bógże z Wami, Wielebni Bracia! a westchnijcie czasem do Pana, aby i nam było dano styrać resztę sił na rodzinnéj niwie, a w każdym razie donieść do końca krzyż nasz. Co nam daj Boże. Amen.

[2]) Fakt rzeczywisty z czasów Leona XII. czy Piusa VIII.
[3]) Hrabia Władysław Zamoyski.
[4]) JWKs. Ledóchowski, arcybiskup poznańsko-gnieźnieński. JWKs. Wierzchlejski, arcyb. lwowski rit. lat. JWKs. Litwinowicz, metropolita lwowski rit. gr. JWKs. Szymonowicz, arcyb. lwowski rit. arm. JWKs. Monasterski, biskup przemyślski rit. lat. JWKs. Cybichowski, nominat gnieźnieński.

HENRYK KIETLICZ

Arcybiskup Gnieźnieński *)

skreślił

B. M.

alumn seminaryjum duchownego poznańskiego.

Podział Polski pomiędzy synów Bolesława Krzywoustego r. 1139 dokonany nieobliczone na kraj sprowadził nieszczęścia. Zawieruchy polityczne, krwawe braci zatargi o samowładztwo, burzliwe zjazdy i sejmy, intrygi i gonienie za widokami osobistemi, z poświęceniem spraw najświętszych, nie przeminęły bez wpływu na duchowieństwo polskie. Prócz tych gorszących wewnątrz kraju przykładów, zaraza ciężka przenosiła się do Polski z Niemiec, które naonczas ostygłością we wierze i upadkiem moralności przewyższały inne chrześcijańskie kraje. Tak z dwóch stron parte duchowieństwo polskie uległo złemu wpływowi, i choroba wnet zatrważający przybrała charakter. Świętokupstwo, — konkubinat, dążenie do przewagi politycznéj w sposób często nieodpowiedni, oto, czym się odznaczała większa część duchowieństwa. Stolica Apostolska łzawym na te bezrządy spoglądała okiem, a uznając groźność niebezpieczeństwa, i pragnąc złemu zaradzić, często głos swój poważny podnosiła, by przywrócić porządek i karność. Co chwila więc przybywali legaci papiezcy a latere, jako to: kardynał-dyjakon Grzegórz, Rajnaldus, Jan Malebranka r. 1182, który zwołał synod celem zaprowadzenia reformy i zebrania dziesięcin na krucyjatę; Piotr z Kapuy, który r. 1197 odprawił synody w Krakowie i Lubczy, a nadto dość liczne podjął wizyty dyjecezalne. W ogóle często odbywano zjazdy duchowieństwa, zwoływano synody, ustanawiano kanony, by złe naprawić, które jak groźny potok wzbierało. Mimo to wszystko byłoby się złe krzewiło coraz więcéj, gdyby Opatrzność nie zsyłała mężów godnych i świętych, którzy siłą ducha ewangielicznego, przykładem i poświęceniem, jako dobrzy pasterze, gojili rany narodu. Wizyty bowiem wspomniane odnosiły skutek tylko chwilowy; gdy legat opuszczał Polskę, duchowieństwo wracało do dawnych nierządów. Tak przynajmniéj pisze ks. Ostrowski.

Były to czasy przesilenia. Po śmierci Kazimierza Sprawiedliwego r. 1194, który na czas krótki rozprzężone dzielnice, wzajemną ku sobie tchnące nienawiścią, jako tako utrzymał w zgodzie, i za którego panowania część duchowieństwa polskiego odznaczała się życiem przykładnym i wydawała z pośród siebie nie-

*) Źródła: 1. Długosza kronika. 2. Naruszewicza hist. nar. pol. tom III. 3. Szujski, historyja polska. 4. X. Fabisza, o synodach w dawnéj Polsce. 5. Bużeńskiego, Żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich. 6. Rzepnicki, Vitae praesulum Poloniae. 7. Dr. Ritter, Geschichte der Diöcese Breslau. 8. Hurter Papst Innoc. III. 9. Siemieński, Vitae archiepiscoporum Gnes. (manuskrypt lib. 6 Sem.)

jednę znakomitość, tym groźniéj odezwały się intrygi nieprzyjaznych sobie książąt, mianowicie, gdy chodziło o rozstrzygnięcie kwestyji następstwa. Po długich sporach o to, komu oddać koronę, przemogło zdanie biskupa Krakowskiego, Pełki, żeby mocą prawa dziedzicznego Leszkowi Białemu, synowi Kazimierza Sprawiedliwego, powierzyć rządy. Ponieważ zaś tenże był małoletnim, oddano opiekę nad nim matce jego, Helenie, przydając jéj do rady Pełkę i wojewodę Mikołaja. Mieczysław Stary, książę wielkopolski, brat zmarłego króla Kazimierza Sprawiedliwego, widząc swe zabiegi wniwecz obrócone, a mocno obruszony tym zwycięztwem duchowieństwa, krwawą postanowił na wszystkich swych przeciwnikach wywrzeć zemstę. Podburzył przeciw Leszkowi i jego sprzymierzeńcowi Włodzimierzowi, księciu ruskiemu, Szlązk i Pomorze. Licznemi zastępy wzmocniony, uderzył na hufce Leszka nad rzeczką Mozgawą, lecz pobity i ciężko ranny, ledwie z życiem uszedł. Atoli nie zrażony tą dotkliwą klęską, czekał tylko nowéj sposobności z intryg przeciw Leszkowi Białemu. Sposobność taka wnet mu się nadarzyła. Mikołaj, wojewoda Krakowski, urażony o to, że wpływ jego przy dworze nikł z dnia na dzień, uprzedzając swój upadek, przerzuca się na stronę Mieczysława i oddaje mu Kraków, złudzony obietnicami, których niedopełnienie do nowych byłoby przyprowadziło zamieszek i krwawych zatargów, gdyby Mieczysława nie była nagle śmierć zaskoczyła (r. 1201).

Taki był stan rzeczy w chwili, gdy Henryk Kietlicz rozpoczął swoje działanie. Powyższy szkic ówczesnego stanu politycznego miał na celu wyjaśnić groźność położenia, w jakiéj arcybiskup objął rządy archidyjecezyji. To też wytłomaczyć nam może stanowisko i działalność naszego Henryka w obec prądu nieprzyjaznego Kościołowi, i przyczynić się do ocenienia doniosłości prac jego i zasług około dobra Kościoła położonych.

Krótko po wizycie kardynała-dyjakona Piotra, jeszcze za życia Mieczysława Starego, umarł Zdzisław, arcybiskup Gnieźnieński r. 1198. Na opróżnioną stolicę obrała kapituła Tomasza, archidyjakona Gnieźnieńskiego, ale przez zabiegi książąt wielkopolskich Władysława, Ottona, mianowicie Mieczysława Starego, obór ten unieważniono, czy też cofnięto, i po układach ze Rzymem, wyniesiono na godność metropolity Henryka Kietlicza.

Co do rodowodu Kietlicza nie ma zgody pomiędzy historykami, a sprzeczne ich i fałszywe relacyje krzyżują się nieraz tak dalece, że trudno dojść do stałego, pewnego rezultatu. Dla wyjaśnienia, o ile podobna, téj kontrowersyji, przypominamy, że Henryk nasz został arcybiskupem r. 1198, a że po nim około r. 1282 arcybiskupstwo dzierżył Henryk II, którego też niektórzy zowią Kietliczem, a który był synem Teodoryka, księcia Berneńskiego i Eudoxyji, córki księcia Konrada Mazowieckiego. Z pomięszania tych dwóch arcybiskupów, których mylnie wielu identyfikuje, wszystkie zdaje się powstały niezgodne relacyje. Długosz pisze, że Henryk nasz był synem Teodoryka Berneńskiego i Eudoxyji, córki księcia Konrada. Pomyłka co do matki widoczna, gdyż Konrad w chwili, gdy Henryk wstępował na stolicę gnieźnieńską, nie mógł liczyć więcéj nad 10 lat. Leszek bowiem w 40tym roku życia zabity, a panujący do r. 1227., w r. 1198, gdy Kietlicz został arcybiskupem, liczył lat 11. W dalszym tedy następstwie wzmianki Długosza byłby dziad młodszy od wnuka. — Zdaje się, że rodzice naszego Henryka byli ślachtą, bo i Naruszewicz, Siemieński, kanonik Gnieźnieński, w swym spisie arcybiskupów Gnieźnieńskich, same kładą imiona bez jakichkolwiek dodatków. Paprocki zaś w spisie arcykiskupów Gnieźnieńskich, wywodzi ród Kietlicza od książąt Morawskich, i dodaje, że rodem był spowinowaconym ze św. Jadwigą, księżną na Ślązku. Herb Kietlicz składał się z trzech równych części łańcucha od zbroji tak spojonych, że dwie z nich w górę, a jedna na dół była skierowaną. Herb ten wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, na co się i inni zgadzają z Paprockim, pochodzi z Niemiec, jakto sama nazwa od niemieckiego Kette wskazuje. — Henryk tedy pochodził z zamożnéj rodziny, z ojca Morawczyka. O roku urodzenia jego nic nie wiemy, ani z jego wieku młodocianego i życia przed objęciem arcybiskupstwa, żadnych prawie dat źródła nie podają, a to, co czytamy, skąpe i niepewne na wiosnę życia jego rzuca światło. Rzepnicki w swych „Vitae praesulum Poloniae“ pisze o Henryku Kietliczu, pomijając jego ród i pochodzenie, to, że sprzyjając Mieczysławowi Staremu, od Kazimierza Sprawiedliwego schwytany i na wygnanie do Rusi posłany został, skąd wróciwszy, arcybiskupstwo gnieźnieńskie otrzymał. Zdaje się zaś Rzepnickiemu słusznie fałszem, jakoby nasz Henryk miał być franciszkaninem, podczas, gdy nam Długosz i inni o tym wyraźnie wspominają. Opiera się on na tym, że sankcyja zakonu tego przez Rzym późniéj, r. 1210 dopiero nastąpiła. Za to ma Rzepnicki w swym spisie innego arcybiskupa Henryka Kietlicza, który był zakonnikiem franciszkańskim, a jest to już wyżéj wspomniany syn Teodora, księcia Berneńskiego i Eudoxyji, księżnéj Polskiéj, panujący około r. 1282. Toż stwierdza wyciąg kanonika Siemieńskiego, oparty na archiwach kapituły Gnieźnieńskiéj. Prawda, że Długosz w kronice i ks. Bużeński w swych Żywotach arcybiskupów Gnieźnieńskich nie znają innego prócz naszego Kietlicza, ale łatwo wytłomaczyć tę niedokładność tym, że ów Henryk II w r. 1282 obrany jedzie do Rzymu, by prosić o przyjęcie rezygnacyji swéj na arcybiskupstwo i w drodze umiera; tym sposobem wcale rządów metropolii nie obejmuje. Co do pytania tedy, czy Henryk był mnichem, trudno pogodzić sprzeczne zdania, acz to, co Długosz i Bużeński twierdzą, że w młodym wieku we Wrocławiu wstąpił do Franciszkanów, nie ma żadnéj podstawy. Lecz nie jest bezzasadnym twierdzenie, jakoby nasz Henryk wcale zakonnikiem, choć innéj reguły, być nie mógł. We Wrocławiu bowiem po wypędzeniu r. 1149 Benedyktynów, osiedli r. 1180 Premonstratenzi, czyli Norbertyni, i w tym to klasztorze łatwo mógł nasz Henryk przebywać. Utwierdza nas w tym przypuszczeniu fakt ten, że wówczas, jeśli na stolice biskupie nie obierano ex gremio capituli, wywoływano często z cel klasztornych na widok publiczny mężów odznaczających się świątłą pobożnością i siłą charakteru.

Mówiliśmy już o przeważnym wpływie Mieczysława Starego na obór Henryka. Ciekawe teraz nastręcza się tutaj pytanie: Skąd ta przychylność księcia ku Kietliczowi? Otóż zaraz w początkach, gdy Mieczysław sięgał po koronę i panowanie samowładne nad innemi dzielnicami, około r. 1174 napotykamy przy jego boku niejakiego Henryka Kietlicza, który

pochodził z Morawy i miał wieś Kietlice pod Budzi-szynem. Człowiek ten wyuzdany, złośliwy, stronnik gorliwy Mieczysława, zjednawszy sobie zaufanie księcia, wielki na niego wpływ wywierał. Długosz (lib. VI. na początku) tak kreśli obraz jego, sławiąc wprzódy szczęśliwy byt i pomyślne konneksyje familijne księcia: „His et pluribus aliis donis fortunae onustus omnium mortalium felicissimus habebatur, verum utriusque boni, rectae videlicet mentis et fortunae, largitionem Miecislaus diutius non tulit, sed donis gratuitis abutens, multifarias exactiones, calumnias iniquitate plenas in subditos visus est congessisse, ad quod non solum ferebatur proprio ardore, sed etiam perversorum consiliarorum et signanter Henrici de Kietlicz, villa prope Budrysin sita, qui omnium suarum actionum monitor et moderator erat, agitabatur instigatione.“ Daléj opowiada Długosz, że księcia namawiał tenże Kietlicz do ciężkich kontrybucyji za kradzieże leśne i polne, tak np. za zabicie niedźwiedzia, jelenia lub sarny konfiskowano dobra; daléj, że książę za namową swego doradzcy, nie słuchał zażaleń uciśnionych, i tym sposobem ulegając znienawidzonemu dworakowi, coraz bardziéj umysły poddanych od siebie odstręczał. Koniec tegoż Kietlicza, co tyle łez narodowi wycisnął, godzien był żywota splamionego wielu występkami. Podczas zapasów Mieczysława Starego z Kazimierzem Sprawiedliwym, Kietlicz szczególnym obdarzony zaufaniem, razem z młodym Bolesławem, synem Mieczysława, bronił Krakowa przeciw hufcom sprzymierzonym Kazimierza i Rusinów. Po zaciętym oporze wreszcie zamek poddać się musiał. Młodemu Bolesławowi darował wspaniałomyślny winę i do ojca odesłał; Kietlicz zaś, sprawca wojny domowéj, sprężyna intryg, przeczuwając złe skutki, gdy się pośród zgiełku wcisnął w loch jakiś kościoła katedralnego, pojmany od łupiących kościół Rusinów, gdy chciał uchodzić, stawionym przed Kazimierza został, który srogo spoliczkowanego wskazawszy na wygnanie na Ruś, oddał ks. Włodzimierskiemu Romanowi, gdzie też Kietlicz życia dokonał w r. 1191. Niezawodnie tedy Rzepnicki tego Kietlicza doradzcę, który zresztą wcale nie był duchownym, pomięszawszy z naszym Henrykiem, uczynił arcybiskupem Gnieźnieńskim, a nie wiedząc, że umarł na wygnaniu, wspomina że był na wygnaniu, a po powrocie zasiadł na stolicy arcybiskupiéj; ks. Bużeński zaś w swych „Żywotach arcybiskupów Gnieźnieńskich“ pod koniec bijografiji Henryka Kietlicza dodaje, że „zarzucają temu prałatowi, jakoby radząc do złego Mieczysławowi, łzy narodowi wyciskał.“ Domyślamy się tu, że Bużeński nie znał doradzcy Mieczysława równego imienia z arcybiskupem, a przynajmniéj zarzuty czynione pierwszemu, przeniósł na drugiego, o co w onym czasie, pełnym zaburzeń, a przez historyków bardzo niejasno i niechronologicznie opisywanym, wcale trudno nie było. Ale łatwo z tych zarzutów oczyścić dostojnego księcia kościoła. Ani Długosz, ani Naruszewicz, ani Szujski, których świadectwo bez wątpienia wiele wymowniejsze, niż wiadomości w jedynym Bużeńskim zawarte, nie wspominają nic o tym, jakoby arcybiskup Henryk Kietlicz, był miał popierać sprawę Mieczysława, a jego samego do gwałtownych namawiać postępków. Przytym nie wielkich dokazać mógł rzeczy wpływ Kietlicza, gdyż Mieczysław trzy tylko lata żył po wyniesieniu Henryka na stolicę Gnieźnieńską; a z drugiéj strony nie bardzo zdaje się prawdopodobnym, aby Henryk, nie występujący publicznie prędzéj jak dopiero za Laskonogiego, ale oddany całkiem zarządowi swéj prowincyji kościelnéj miał był tak donośnie i przeważnie wpływać na umysł potężnego księcia, zawikłanego w ciągłe burze polityczne. Nie można jednakowoż zaprzeczyć, że Henryk był stronnikiem, acz biernym, Mieczysława, ale cóż w tym złego? Czyż go nie wiązały przyrodzone uczucia wdzięczności do księcia, którego starania wyjednały mu imtułę? Czyż Mieczysław nie mógł być w oczach Kietlicza mężem sposobnym do zjednania rozsprzężonych dzielnic pod jedno berło? Wreszcie prawy i energiczny charakter arcybiskupa, jako też szczére przywiązanie do Kościoła, którego późniéj tak świetne dał dowody, dostateczną są nam rękojmią, że jeżeli Henryk uzyskał łaski Mieczysława przez jakie przysługi, to tego z pewnością nie uczynił z ubliżeniem osobistéj godności, lub z uszczerbkiem i poświęceniem dla zysków doczesnych interesów Kościoła.

Koniec końcem tak Rzepnicki jak i Bużeński pomięszali Arcybiskupa Henryka z onym doradzcą Mieczysława, który z naszym nie może być jedną i tą samą osobą. By wreszcie wybrnąć z kwestyji naszéj, skąd pochodził przyjazny stosunek pomiędzy Henrykiem a Mieczysławem, w braku dat heraldycznych, któreby nam może ciekawych dostarczyły szczegółów, stawiamy prawdopodobną acz śmiałą hypotezę, że nasz arcybiskup bardzo łatwo mógł być krewnym owego Kietlicza doradzcy, i że Mieczysław wynagradzając zasługi ostatniego względem siebie, łaski te przelał na spokrewnionego naszego Henryka, i wyjednał mu Arcybiskupstwo Gnieźnieńskie. Jest to oczywiście tylko prosty domysł, nadto słabym popart y dowodem historycznym, który nam jednakże wśród nierozświeconych krytyką okoliczności podaje wskazówkę od rozwiązania powyższego pytania.

Wykazawszy, o ile się dało, ród i pochodzenie jako też lata życia naszego Henryka aż do objęcia przezeń stolicy Gnieźnieńskiéj, pzzestępujemy teraz do działań jego pasterskich, przez które tak głośne zjednał sobie imię. Kietlicz wybrany przez Kapitułę i prekonizowany przez Innocentego III. wahał się przyjąć to dostojeństwo, czując ciężką odpowiedzialność urzędu, który mu powierzano. Był nawet podobno w Rzymie i błagał papieża, aby go zwolnił z tak ciężkiéj próby, ale znając słowa Grzegorza Wielkiego: „Episcopus electus debet tremescere et invitus obedire“, uległ wreszcie woli głowy Kościoła, która uznając obok znakomitych zdolności, głęboką męża pokorę i prawość, tym więcéj nań nalegała, by Polskę od moralnego ochronił upadku. Jednakże ta wiadomość o pobycie Henryka w Rzymie jest znowu jak się zdaje nieszczęsnym pomięszaniem obu już kilkakroć wspomnianych arcybiskupów, którzy w blizko wiekowym odstępie rządzili archidyjecezyją Gnieźnieńską. Siemieński w swym Spisie opowiada, że Henryk II. obrany na stolicę Gnieźnieńską jechał do Rzymu, by zrezygnować, i że w drodze umarł 1282 roku. Wiadomość ta czerpana z archiwów kapituły Gnieźnieńskiéj, przed innemi zasługuje na pierwszeństwo, i stąd też na pobyt naszego Henryka w Rzymie krótko po nominacyji pisać się nie możemy. Henryk spokojnego, jak z pierwszych lat rządów jego wnosić należy, usposobienia, mało brał z razu udziału w politycznych onego czasu wypadkach. Czynnie pierwszy raz występuje w czasie swych rządów, na walnym zjeździe Krakowskim, w dzień św. Bartłomieja, gdzie Mieczysław, zawarszy ugodę z Heleną,

matką Leszka Białego, objął znowu rządy i stwierdził przysięgą, że obietnic względem Leszka danych dotrzyma. Ugodę zawartą magnaci obu stronnictw za przykładem książąt zaprzysięgli, a Henryk Kietlicz, głowa duchowieństwa, świetnym żołnierzy Chrystusowych otoczony orszakiem, zagroził mocą swéj powagi klątwą każdemu, ktoby nie dopełnił warunków. Mieczysław, nie uszanowawszy traktatu, umarł już r. 1201, ale śmierć głównego a najzdolniejszego zarazem na on czas burzyciela, nie uśmierzyła bynajmniéj wzburzenia umysłów, owszem nowe do intryg otworzyła pole.

(Dokończenie nastąpi.)

KORESPONDENCYJE.

(Kor.) **Rzym** 6 lipca 1867.

Tydzień temu odbył się nareszcie ów wielki obchód kościelny, owa uroczystość całego świata chrześcijańskiego, na którą też cały świat chrześcijański zjechał się do swojéj stolicy, do Rzymu. Kto był w tych dniach w Rzymie, ten tylko dowiedział się i wie czym jest Rzym w całéj swéj rzeczywistości; że jest doprawdy stolicą chrześcijańskiego świata. Tłumy nieprzeliczone zalegały od rana wszystkie wejścia do św. Piotra. Bazylika przedstawiała cudowny widok. Jużem wam pisał o jéj przyozdobieniu. Ale te martwe wprzody choć najkraśniejsze ramki, zapłonęły dziś życiem, swojim mówię, sobie właściwym życiem. To życie dało im światło; — bo już nie mówię o tym innym życiu, o téj powodzi żywéj, tym morzu ludzkim, które przypływając i odpływając, zalewało wielkie koryto Nawy Piotrowéj. To było życie ruszające się na dole, jakoby ziemskie; nad nim, na powietrzu, jakoby z nieba zeszłe, iskrzyło się ono inne życie, swojego rodzaju, o którym mówiłem, życie tryskające ze światła, z tego ognia, którym zajiskrzyły się tysiące i tysiące jarzących się świec. Był to jakoby nowy firmament i jakoby nowe gwiazdy; i jeżeli dół Nawy Piotrowéj przedstawiał ziemię, tedy szczyt świątyni i jéj sklepienie przedstawiało niebo. A kiedy do kościoła weszła procesyja biskupów uwieńczona głową najwyższą, papieżem, wtedy nic już nie brakowało, aby w tych ciasnych teraz, choć tak szerokich ścianach największéj na świecie świątyni, widzieć przed sobą wszystko, przedstawienie całego świata jaki wyszedł z rąk bożych, całego dzieła stworzenia i całego dzieła odkupienia. Były już tam uprzednio ziemia i niebo, teraz zjawiło się to, co łączy jedno z drugim, i węzeł nierozerwanym czyni, zjawiło się duchowieństwo, kapłaństwo całe z kapłanem najwyższym na czele; przedstawienie żywe na ziemi tego Zawiciela, który z nieba zstąpił, który zostając Bogiem stał się człowiekiem i tak na zawsze niebo z ziemią, a ziemię z niebem połączył: fecit utraque unum; *co było dwójgiem, uczynił jednym.* To wszystko było w téj chwili w świętym Piotrze.

Ileto widoków cisnęło się przed oczy, ile uczuć do serca. Dzień ten był wielkim w sobie, dzień ten jest i będzie wielkim w historyji; i jego znaczenie będzie coraz większéj i większéj nabierało wagi.

Jakże wam opisać całą postać św. Piotra? Choćby tę materyjalną, którą mieliśmy przed oczyma? Jedna rzecz przedewszystkim była pochwały godna: to jest, że budowniczy kierujący przyborami, pozostawił architektoniczną postać św. Piotra, i tylko ją uwydatnił i ukrasił ozdobami. Podczas kanonizacyji 1862 roku zupełnie co innego było zaszło: Architekt chciał innego jakiegoś św. Piotra przedstawić, jakoby z jakichś kartonów Michała Anioła wydobytych (po co tu kartonów, kiedy jest rzecz sama i dzieło Michała Anioła?). Były tedy między wielkiemi łukami bieżącymi wzdłuż nawy kościoła postawione nowe dekoracyjne kolumny, na nich takież architrawy itd. itd. co zupełnie postać św. Piotra zmieniało, i każdy znawca i czciciel dawnego, nie poznawał tego nowego i nie wiedział jak się z nim pogodzić. To wszystko nie miało teraz miejsca. Każdy doskonale poznawał *swojego* św. Piotra, i tylko się dziwował, że taki świeży, kraśny, dziewiczy, taki biały, czerwony i złoty. Kandelabrów było niesłychane mnóztwo; w braku potrzebnéj liczby w Rzymie, sprowadzano je podobno z Neapolu i skądjinąd. Ale ze wszystkich kandelabrów, i nad wszystkie jakie kiedykolwiek, a nie tylko w téj chwili w Rzymie, widziano, odznaczał się swemi olbrzymimi rozmiarami, i swoją wartością, i swoją pięknością architektoniczną, ten który się spuszczał z samego środka sklepienia nawy kościelnéj, w równéj odległości od ołtarza i ode drzwi. Składał się ze szkieł czeskich: zakupiono wszystkie odpowiednéj formy, jakie obecnie znaleziono w Czechach, i jeszcze drugie tyle dokupiono w Paryżu, drobniejsze wzięto z Wenecyji. Forma tego kandelabru, czyli raczéj pająka, była najpiękniejszym architekta pomysłem: Z góry tyjara papiezka, tak nazwane triregnum, święcąca swymi blaskami; pod nią na krzyż złożone kolosalne klucze piotrowe, a pod nimi ku ziemi zwieszający się a wychodzący ze środka ich przecięcia się krzyż wywrócony, to jest ramionami swemi poprzecznemi obrócony na dół, taki na jakim Piotr św. męczeństwo swoje poniósł i posłannictwo swoje śmiercią zapieczętował; to wszystko w świetle i ogniu. Wielkość tego dzieła od szczytu tyjary, do wierzchołka przewróconego krzyża mogła się porównać do jakiéj dobréj wieży kościelnéj u nas; ale to było w św. Piotrze: Owe sto kilkadziesiąt stóp rozmiarów téj machiny ognistéj, wisiało na jakie sto stóp od posadzki, a miało niemal tyleż nad sobą do sklepienia; zdawało się nie większe jak cztero lub pięciostopowy pająk w salonie. Przystąpiłem pod niego samego, szukając właśnie prawdziwego wyobrażenia o jego wielkości, i dopiero wtedy sąd mojéj mierzącéj myśli został zadowolony, kiedy oko moje wszystkie światła rozpłonionéj machiny przekroczywszy, po sznurze ani wiedzieć o jakich rozmiarach, ledwie, ledwie że znalazło sklepienie.

Ceremonija odbyła się najuroczyściéj a zarazem najspokojniéj. Wprawdzie policyja dniem wprzódy otrzymała ślepe listy, że dekoracyje podpalą, wprawdzie grożono nawet podpalaniem sukień damskich; — wprawdzie, w saméjże rzeczy podłożono podczas ceremoniji ogień i zapaliła się jedna zasłona zawieszona na jednym z pilastrów, którą zaraz zagaszono; — wprawdzie, pewien człowiek, czy podpalacz czy kto inny poderznął sobie gardło w kościele, a według zdania niektórych stało się to umyślnie, żeby kościół sprofanować (dziwny byto był zajiste sposób!); ale to wszystko uroczystości nie przerwało: odbyła się w zupełnym porządku i w całéj okazałości. Kiedy papieżowi na przystolu siedzącemu doniesiono, że człowiek zarżnął się w kościele, powątpiewając czy przez to krwi wylanie nie trzeba

ceremoniji zawiesić i z kościoła się wynosić, papież spokojnie spytał się w jakiéj stronie kościoła to się stało, a gdy mu ją wskazano, on, ledwie podnosząc rękę, uczynił ku téj stronie znak krzyża świętego, zapewne z intencyją oczyszczenia kościoła, gdyby tego potrzeba było; i rzekł, że już wszystko dobrze, i żeby daléj nabożeństwo prowadzić.

Msza trwała z pięć godzin. Tłum ludu coraz się powiększał i na końcu był niezliczony. Wiadomo, że św. Piotr może pomieścić 60,000 ludzi, ale drugie tyle pewno było za kościołem. Jeden z najznakomitszych pisarzów katolickich dzisiejszego wieku (p. Ludwik Veuillot), który był właśnie obecny w téj chwili w kościele, wyrzekł z téj przyczyny bardzo stósowne słowo: *Jedna z najpiękniejszych rzeczy*, powiada, *jaką rewolucyja na naszę korzyść zrobiła, to ta na którą patrzymy*: *że św. Piotr za ciasny!* Bo czyż to nie rewolucyja uczyniła, napadając na papieża i chcąc go wyzuć z jego własności, a przez to niemożebną uczynić samąż godność jego, że się katolicy całego świata tak koło niego kupią, i tak się cisną do téj skały, podwaliny kościoła i świata cywilizowanego, którą właśnie wyobraża ta konfesyja piotrowa, ten św. Piotr, w którym jesteśmy? —

Czas popołudniowy całą uroczystość jeszcze wydatniejszą uczynił. Wchodząc do św. Piotra, o któréjkolwiek godzinie, to samo zdziwienie ogarniało odwiedzającego: o każdéj godzinie widział św. Piotr pełen. Istotnie było w tym coś zastanawiającego. Z jednéj strony rzeka cała, prąd wielki ludności wlewał się do św. Piotra przeze drzwi, z drugiéj strony przez inne podobnyż się wylewał; ale już o kilkadziesiąt kroków od wejścia ruch się równoważył, daléj już było jakoby stojące morze, jakoby ocean ludności, spokojny, choć się tam gdzieś do niego rzeki wlewają, lub zeń prądy płyną. — Święty Piotr pełen, pełnusieńki przez dzień cały, tego pewno zacna bazylika od swego założenia nie widziała, i był to pewno dla niéj dzień jedyny w jéj życiu.

Zacząwszy od nieszporów znowu była illuminacyja ze wszystkich świateł, która trwała do nocy. Nieszpory celebrował arcybiskup de Merode, jałmużnik dzisiejszy papiezki (dawny minister wojny), który jest także kanonikiem św. Piotra. Illuminacyja zdawała się jeszcze świetniejsza niż była zrana; zmierzch coraz głębszy chylącego się dnia coraz wyżéj ją podnosił.

Lecz czyż się święto razem z dniem skończyło? Bynajmniéj. Rzęsista była już illuminacyja miasta wczorajszego wieczoru, ale rzęsistsza dzisiaj. Corso jak wiadomo jest główna ulica Rzymu, przeszło milę włoską długości mająca, a na niéj pełno pierwszego rzędu pałaców. Ze wszystkich postumentów latarnianych zdjęto zwykle latarnie gazowe, a powkładano osobne przybory w kształcie jakoby ostrosłupów złożonych z kilku obręczy, jednych nad drugiemi, o coraz mniejszych średnicach; w każdym takim obręczyku były otwory do puszczania gazu i światła; po zapaleniu przybór taki każdy zdawał się jakoby pyramidą świetlaną o stu i więcéj światełkach. Cała tedy ulica była rzęsisto oświetlona od tych samych świateł, nierachując, że jeszcze wszystkie okna domów miały wystawione rozliczne i różnorodne latarnie i światła. A samo Corso? Mogę powiedzieć, że było jedną wielką salą, nie powiem balową, bo była za poważna, ale odświętną, oduroczystną; tłumy ludu wyraźnie ze św. Piotra przeniosły się na Corso, i wielkim, uroczystym pochodem, zawodziły jakoby tany weselne zupełnie nowego, owszem jedynego rodzaju. Wyraźnie bawiły się, godowały, ale po swojemu; rzekłbym: świętowały! Zdawało się, że było niemo: ale tam była dziwna rozmowa całego tego tłumu między sobą, rozmowa oczu, rozmowa uczuć, rozmowa serc. Szczęśliwa konieczność zmusiła mię wracać do domu o godzinie 10téj i przechodzić przez Corso. Szedłem zajęty wewnątrz i nie zważając na ten tłum naokoło. Ale mimowolnie coś mię uderzało, coraz żywiéj odbijało się we mnie, że tu coś niezwykłego się dzieje, i zacząłem mimowolnie przypatrywać się, uważać, zdawać sobie sprawę: — nareszcie przyszedłem do przytomności, do wiedzy tego, co się dzieje; i wnet myśl uczuciu odpowiedziała wewnętrznym zrozumiałym głosem: Wiesz co to jest? To święto! — Ale jakie święto! Powtórzyło uczucie; i weszło wtedy w ogólny prąd téj wyższéj i głębszéj nadprzyrodzonéj siły, jaki w téj chwili obiegał wszystkie te zastępy Synów Kościoła, niewątpliwych chrześcijan. Serce czuło się między swojimi, i cieszyło się, że ich tak wiele, i że jeszcze krom tego śród nich i razem tu z nami, jest, co najmniéj, drugie tyle niewidzialnych Aniołów. I coś błogiego, nadziemskiego, prawdziwie niebiańskiego dało się czuć w powietrzu, pierś oddychała swobodnie, spokojnie, szczęśliwie. A to wszystko, jakem się potym dowiedział, trwało do 1széj i 2giéj w nocy. Zajiste, nie łudzę się: było coś nadzwyczajnego. Może to ogólne przeczucie tego tryjumfu Kościoła, który ma przyjść niezadługo, uobecnienie przedwczesne téj chwili, któréj jeszcze nie ma, ale która nastąpi niezawodnie, któréj tu wszyscy czekamy, a którą papież w mowie swojéj, o któréj wam pisałem (ale tego szczegółu nie wiedziałem jeszcze), zapowiedział nie jako dobrą jakąś swoję nadzieję; ale jako stanowcze *proroctwo od siebie*. To słowo kończyło ową mowę jego. A my wiemy, że kiedy papież coś podobnego powie, tedy nie raz, ale trzykroć i czterykroć ma powód i przyczynę do tego.

Na tym niech dzisiaj skończę. Potrzebuję odetchnąć. Dosyć ma jedna korespondencyja na opisaniu dnia takiego! X***

Na dniu 12 b. m. Ojciec św. odbył w Watykanie konsystorz tajny, na którym wedle zwyczaju zamknął usta kardynałowi de la Lastra y Cuesta. Miał potym przemowę z powodu prośby zaniesionéj do Stolicy Apostolskiéj przez biskupów obrządku ormijańskiego, zebranych w Bzommar na Libanie pod przewodnictwem mons. Valerga, patryjarchy jerozolimskiego, prodelegata apostolskiego w Syryji, i przedstawił na stolicę patryjar. ormijań. w Cylicyji monsignora Antoniego Hassun, arcybiskupa ormijańskiego w Konstantynopolu. Jego Świątobliwość raz jeszcze przemówiła, aby obwieścić świętemu Kolegijum bolesny wypadek śmierci cesarza Maxymilijana i zapowiedzieć, że się za duszę cesarza nabożeństwo w kaplicy syxtyńskiéj odbędzie. Z koleji Ojciec św. przedstawił jeszcze następujące biskupie nominacyje: stolicę motropolitalną w Sens we Francyji dla mons. Wiktora Feliksa Bernadou, przeniesionego ze stolicy biskupiéj w Gap; stolicę biskupią w Oran w Algeryji, nowo utworzoną, dla ks. Jana Callot, duchownego archidyjecezyji lugduńskiéj; stolicę biskupią Cinna in part. inf. dla ks. Józefa Cybichowskiego, duchownego archidyjecezyji poznańskiéj.

† **Poznań** dnia 16 lipca 1867.

Wczoraj około godziny 5 wieczorem powitaliśmy w Katedrze *Karmelitanki*, przybyłe wraz ze swym kapelanem Karmelitą, na osiedlenie do miasta naszego, z Bruxelli. Niezwykłe to zdarzenie i świetność uroczysta, jaką otoczyć zamierzano ich powitanie, zebrała w Katedrze i na placu katedralnym znaczny tłum ludu. Na dworcu koleji żelaznéj przyjmował je ks. radzca Koźmian i panie, które hojnemi darami przyczyniły się do wzniesienia w pośród nas dawno niewidzianego, bo ostrego, i samą tylko modlitwą zajmującego się zakonu.

Przygotowane powozy zawiozły je do wielkich wrót Katedry, gdzie na nie oczekiwał Najprzewielebniejszy Arcypastérz przybrany w biskupie szaty, w towarzystwie znacznéj liczby duchowieństwa poznańskiego. Otrzymawszy błogosławieństwo pasterskie, zaproszone zostały zakonnice wśród śpiewu *Salve Regina* przed wielki ołtarz. Tutaj odmówił ks. Arcybiskup zwykłą po Antyfonie do Matki Bozkiéj modlitwę, a potym zasiadł na tronie. Ks. penitencyjarz Pędziński wstąpił na ambonę i przemówił stósownie do okoliczności. Po kazaniu odśpiewało duchowieństwo przed Najśw .Sakramentem, wystawionym w monstrancyji, *Te Deum, Tantuw ergo.* Ks. Arcypastérz odśpiewał modlitwę O Najśw. Sakramencie, poczym z puszką rozpoczął pochód procesyjonalny do kaplicy, urządzonéj w domu Karmelitanek. Wśród śpiewu *Kto się w opiekę* ciągnął się przez ulicę nabitą ludem, długi szereg duchowieństwa, za nimi 8 zakonnic, prowadzonych przez panie a dobrodziejki zakonu, w końcu pod baldachimem ze zwykłą asystą szedł ks. Arcypasterz, niosąc puszkę. Do kaplicy wszedł tylko ks. Arcypastérz z zakonnicami i duchowieństwem, odśpiewał *Tantum ergo* i udzielił błogosławieństwo Najśw. Sakramentem. Po skończeniu téj ceremoniji odprowadził zakonnice do drzwi klasztoru, przemówił do nich kilka słów w języku francuzkim, udzielił błogosławieństwo, zamknął drzwi na klucz i wyrzekł uroczystym głosem, w zwykłéj formie kościelnéj ekskomunikę na tych, którzyby się odważyli przestąpić klauzurę.

(Kor.) **Z dekanatu Zbąszyńskiego.**

Bardzo się czytelnikom teraźniejszego *Tygodnika* podoba, że od czasu do czasu znajdują w nim wiadomości miejscowe, dotyczące spraw bliższych naszéj archidyjecezyji. To też istotnym, według zdania naszego, zadaniem pisma peryjodycznego dyjecezalnego, żeby kreśląc rozmajite strony, zjawiska i stosunki życia kościelnego, przedstawiało obraz żywy téj lubéj cząstki winnicy Pańskiéj, która nam się na rozszérzenie królestwa Bożego na ziemi od Opatrzności w udziele dostała, z którą więcéj niż z którąkolwiek inną łączą nas najściślejsze węzły, najdroższe wspomnienia, najważniejsze względy. Co się tutaj dzieje, przedewszystkim nas obchodzić, czego tu jeszcze nie dostaje, szczególniéj uwagę naszę zajmować powinno. Tu powinna być wspólność ślachetnych uczuć, gorliwych zabiegów, wzniosłych celów, a wszelka obojętność, niedbałość i nieczułość nie może mieć miejsca. Na tym polu powinniśmy się czuć braćmi, łączyć serca i wierne sobie podawać ręce ku wzajemnym usiłowaniom. Tu się urzeczywistnić powinno słowo Pisma św.: „Gdzie jeden członek cierpi, tam wszystkie cierpią.“

Z tego wychodząc stanowiska, przedsięwziąłem sobie donieść szanownym czytelnikom *Tygodnika* nieco o położeniu sąsiedniéj parafiji katolickiéj, godnéj, ile sądzę, publicznéj wzmianki, co więcéj, katolickiego naszego współczucia. Jest nią parafija w *Brójcach*, miasteczku położonym tuż nad granicą marchijską, w powiecie międzyrzeckim, w dekanacie zbąszyńskim. Liczba katolików, wśród kilku tysięcy protestantów mieszkających, wynosi obecnie 178. Miasto Brójce (Braetz) posiadało już w r. 1593 kościół parafijalny, do któréj to godności ówczesny król polski, Zygmunt III., go był wyniósł, wyposażywszy oraz probostwo dwiema hubami roli z przynależnemi do nich łąkami i ogrodami. Tak zwana reformacyja w 17tym wieku z poblizkiéj Nowéj Marchiji znalazła przystęp i do Brójce, a z postępem czasu liczba katolików tak się zmniejszyła, że oddzielna tam parafija ustała, mała zaś garstka pozostałych biednych katolików przyłączona została do odległéj o 3 mile parafiji babimostkiéj, któréj rządzca tylko 8 razy do roku, i to w czasie przypadających w Brójcach dość znacznych jarmarków, tamże nabożeństwo odprawiał. Szkoły osobnéj katolickiéj nie było, a dzieci katolickie, zmuszone uczęszczać do szkoły protestanckiéj, bez wszelkiéj nauki katolickiéj podrastając, zwykle ginęły dla Kościoła. Na domiar nieszczęścia pogorzał dnia 17go czerca r. 1807 stojący w rynku kościół katolicki z budynkami proboszczewskiemi i z całym miastem w kilku godzinach. Takto mała liczba biédnych katolików brojeckich zupełnie pozbawioną została wszelkich źródeł zaspokojenia swych religijnych potrzeb, a podziwienia istotnie godnym, że w tak opłakanym zostając położeniu, zupełnie dawnéj wiary nie straciła. Z początku o 2 mile odległy klasztór OO. Cystersów w Paradyżu dostarczał im niekiedy pokarmu duchownego. Ale gdy wskutek sekularyzacyji i ten ostatni przytułek upadł, zupełnie byli katolicy brojeccy osieroceni. Katolicy brojeccy późniéj przyłączeni do poblizkiéj parafiji chociszewskiéj, o ćwierć mili tylko oddalonéj, coraz dotkliwiéj uczuwali niedostatek własnego domu Bożego, a gorące życzenie posiadania znów takiego, nie dało się już przytłumić. Ówczesny pleban chociszewski, ś. p. ks. Wels, podzielał chwalebną dążność swych owieczek. Przedstawiono rzecz duchownéj władzy, a śp. Najprzew. ks. arcybiskup Przyłuski raczył nie tylko zezwolić na zbieranie składki w archidyjecezyji w r. 1845, ale i innych biskupów państwa o to samo dobrodziejstwo upraszał. Towarzystwo lugduńskie św. Frańciszka Ksawerego, tyle zasłużone około wzrostu królestwa Bożego na ziemi, znacznie dopomagało, tak, że zebrano jałmużny blizko 6000 tal. Kosztorys nowego kościoła wynosił tal. 9000. Żywiono nadzieję, że fiskus królewski, jako patron, złoży resztę kosztów tal. 3000. Ale nadzieja biednéj z 70, po większéj części zadłużonych chałupników, wyrobników i robotników fabrycznych, składającéj się gminy, gorzko zawiedzioną została, bo fiskus ani o budowie nowego kościoła, ani o patronacie staréj téj królewskiéj fundacyji wiedzieć nie chciał. Chwycono się drogi prawa. Rezultat był ten, że fiskus na fundamencie „przedawnienia“ od przyjęcia patronatu uwolnionym został.

Mimo tak bolesnych doświadczeń przystąpiono w imię Boga *cum spe contra spem* do budowy kościoła podług już wspomnionego kosztorysu i rysunku przez śp. ks. Arcypastérza przyjętego, który chciał, żeby nowy kościół, mający świadczyć o pięknosci i zacności wiary katolickiéj na ostatnim krańcu archidyjecezyji, godnym się stał przybytkiem Pańskim. Kościół nowy chciano postawić na starym placu w rynku, ale widok katolickiéj świątyni wśród miasta nadtoby był raził czułość protestancką; tolerancyja magistratu akatolickiego nie mogła pozwolić na plan takowy. Magistrat pod błahemi powodami wskazał katolikom za miastem, na otwartym polu, miejsce na wystawienie nowego kościoła. Tam też wreszcie stanął po dwóch latach, mile i pięknie unosząc się nad niwami z cmentarzem naokół go otaczającym porządnie ogrodzonym, na którym godło zbawienia zatknięto, którego Brójce od czasów odszczepienia się od staréj wiary nie widziały. W formie krzyża łacińskiego, z kamieni palonych budowany, cegłami pokryty, długości 80', szérokości 34', wysokości 20', z wieżą od zachodu 30' wysoką a 14' w kwadracie, na któréj cynkiem pokryty dach, wysokości 20', wspaniały przedstawia widok z przybudowaną do średniéj nawy zakrystyją po stronie północnéj, i odpowiednią kaplicą po stronie południowéj. Kościół na 8000 tal. zabezpieczony w Kolońskim Towarzystwie ogniowym, które dla notorycznego ubóztwa jego opłaty rocznéj wspaniałomyślnie się zrzekło. W kościele samym palonemi cegłami brukowanym znajdują się 3 ołtarze z drzewa, podarunek hrabiny Kęszyckiéj, ze starego kościoła Igińskiego pod Wschową. Kościół nowy brojecki, przez dwa lata wykończony, czekał wreszcie uroczystéj chwili pobenedykowania na dom Boży. Akt ten dnia 15go września r. 1861 uskutecznił w asystencyji ośmiu kapłanów, wśród licznego tłumu wiernych, ze wszystkich stron przybyłych, właściwy dziekan *sub invocatione SS. Nominis B. Mariae V.*, któręśmy za niebieską Patronkę i Opiekunkę nowéj świątyni obrali, z ufnością powierzając dalsze losy tego przybytku Pańskiego Jéj silnéj macierzyńskiéj opiece. A trzeba było ufności, bo raz ciążył na kościele, przy pomocy Bozkiéj wykończonym, jeszcze dług blizko 3000 tal., nie rachując prowizyji, gdy nigdzie widoku nie było, czymby zaspokoić dług tak wielki, a po drugie, mimowolnie nasuwało się pytanie: Skąd weźmiemy stróża domu Bożego, kapłana, coby nam łamał codziennie chléb żywota, na nowo wystawionym ołtarzu, udzielał łask Ducha św. w Sakramentach, nakarmiał łaknące dusze słowem odwiecznéj prawdy, przyprowadzał maluczkich do Bozkiego miłośnika niewinnych dusz, kiedy w całym mieście przytułku własnego dla niego nie ma. W téj doli niespodziewana przybyła pomoc w osobie emerytowanego ks. proboszcza Riebschlaegra. Kapłan ten, aby w południowych stronach W. Księztwa wzmocnić swe osłabione

Do tego numeru Dodatek. Nr. 16.